

Jill Santopolo

ŚWIATŁO, KTÓRE UTRACILIŚMY

tłumaczenie Mateusz Borowski



OTWARTE

Kraków 2017

PROLOG

Znaliśmy się przez prawie pół życia.

Widziałam, jak się śmiałeś, pewny siebie, błogi i szczęśliwy.

Widziałam, jak się załamałeś, byłeś zraniony i zagubiony. Ale nigdy nie widziałam cię w takim stanie.

Nauczyłeś mnie, że zawsze trzeba szukać piękna. W ciemności, w ruinach potrafiłeś odnaleźć światło.

Nie wiem, jakie piękno i jakie światło teraz odnajdę. Ale spróbuję. Zrobię to dla ciebie. Bo wiem, że ty zrobiłbyś dla mnie to samo.

W naszym wspólnym życiu było tyle piękna.

Może od tego powinnam zacząć.

Niekiedy przedmioty wydają się świadkami historii. Wyobrażałam sobie nieraz, że drewniany stół, przy którym siedzieliśmy w czasie prowadzonego przez Kramera seminarium na temat twórczości Szekspira, był tak stary jak cały Uniwersytet Columbia i stał w tej sali od 1754 roku. Wytarte krawędzie uważałam za ślady pozostawione przez wszystkich naszych poprzedników. Oczywiście prawda mogła być zupełnie inna. Ale ja i tak widziałam okiem wyobraźni studentów siedzących na naszych miejscach w czasie amerykańskiej wojny o niepodległość, wojny secesyjnej, pierwszej i drugiej wojny światowej, wojen w Korei, Wietnamie i Zatoce Perskiej.

Może wyda ci się to zabawne, jednak nie potrafię sobie przypomnieć nazwisk osób, które towarzyszyły nam tamtego dnia. Przez jakiś czas miałam przed oczami ich twarze, ale po trzynastu latach pamiętam tylko ciebie i profesora Kramera. Nie wiem już nawet, jak się nazywała ta asystentka, która wpadła do sali. Przyszła jeszcze później niż ty.

Otworzyłeś drzwi tuż po tym, jak Kramer odczytał listę obecności. Uśmiechnąłeś się do mnie, a kiedy sięgałeś

czapeczkę z emblematem Diamondbacków i wkładałaś ją do tylnej kieszeni dzinsów, na twoim policzku mignął dołeczek. Zauważyłaś puste krzesło obok mnie i czym prędzej je zajęłaś.

– Pan jest... – zaczął Kramer, kiedy wyciągałaś z plecaka zeszyt i długopis.

– Gabe – odparłaś. – Gabriel Samson.

Kramer spojrzął na listę.

– Spóźniony – dokończył. – Przez resztę semestru proszę przychodzić na czas, panie Samson – powiedział. – Zajęcia zaczynają się o dziewiątej. Właściwie proszę się tu zjawiać trochę wcześniej.

Skinąłeś głową i Kramer zaczął omawiać *Juliusza Cezara*.

– „My – już jesteśmy u szczytu sił” – przeczytał – „odtąd / Mogą jedynie maleć. W ludzkim życiu / Trafia się morski prąd, który żeglarza / Niesie ku wielkim zyskom; prąd przepłynie – / To utkwic dziobem na resztę żywota / W mieliznach nędzy. Tak z nami: jesteśmy / na pełnym morzu i, gdy prąd pomyślny, / Trzeba korzystać z okazji – inaczej / Stracimy wszystko”. Kto wie, co w tym akapicie Brutus ma do powiedzenia na temat losu i wolnej woli?

Zapamiętałam ten fragment na zawsze, bo później wielokrotnie się zastanawiałam, czy spotkanie na seminarium Kramera było nam pisane. To los czy my sami zdecydowaliśmy o tym, że nasz związek trwał tyle lat? A może nie sposób tego rozstrzygnąć. Po prostu płynęliśmy z prądem.

W reakcji na pytanie Kramera kilka osób zaczęło wertować leżące przed nimi teksty. Ty przeczesiałaś palcami kręcone włosy, a one wróciły na swoje miejsce.

– No cóż... – zaczęłaś, a ja wraz z pozostałymi uczestnikami kursu spojrzeliśmy na ciebie.

Ale nie dane ci było dokończyć.

Asystentka, której nazwiska nie pamiętam, wpadła do sali jak burza.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała. – Samolot uderzył w jeden z wieżowców World Trade Center. Mówili o tym w telewizji, jak wychodziłam na zajęcia.

Nikt, nawet ona, nie zdawał sobie jeszcze sprawy z wagi tych słów.

– Pilot był pijany? – zapytał Kramer.

– Nie wiem – odparła asystentka, siadając przy stole. – Czekałam, ale spiker nie miał pojęcia, co się dzieje. Podobno to był samolot śmigłowy.

Gdyby to się stało dzisiaj, nasze telefony pękałyby w szwach od wiadomości. Rozległyby się dźwięki powiadomień z Twittera i Facebooka oraz ze strony „New York Timesa”. Ale wtedy media nie działały jeszcze tak szybko jak dziś, a Szekspir nie znosił, by mu przerywano. Wzruszyliśmy tylko ramionami, a Kramer opowiadał dalej o Juliuszu Cezarze. Robiąc notatki, zauważyłam, jak palcami prawej dłoni bezwiednie wodzisz po słojach drewna na blacie. Narysowałam twój kciuk z obgryzionym paznokciem i oderwaną skórką. Gdzieś jeszcze mam ten zeszyt, w pudle pełnym czasopism o literaturze i kulturze. Na pewno gdzieś tam leży.

Nigdy nie zapomnę tego, co powiedzieliśmy po wyjściu z sali wykładowej Philosophy Hall. Choć nie padły wtedy z naszych ust żadne istotne słowa, to nasza rozmowa wyryła się w mojej pamięci jako istotna część tamtego dnia. Zaczęliśmy razem schodzić po schodach. Należałoby raczej powiedzieć „obok siebie”. Powietrze było krystaliczne, niebo błękitne i nagle wszystko się zmieniło. Wtedy jeszcze tego nie przeczuwaliśmy.

Wokół nas toczyły się gorączkowe rozmowy.

– Twin Towers się zawaliły!

– Zajęcia odwołane!

– Chcę oddać krew. Gdzie jest najbliższa stacja krwiodawstwa?

Spojrzałam na ciebie.

– Co się dzieje?

– Mieszkam we Wschodnim Kampusie – powiedziałaś, pokazując swój akademik. – Chodźmy, tam się wszystkiego dowiemy. Masz na imię Lucy, prawda? Gdzie mieszkasz?

– W Hogan – odparłam. – Zgadza się, Lucy.

– Miło mi cię poznać, Lucy. Jestem Gabriel.

Wyciągnęłaś do mnie rękę. Pośród zgłębku uściśnięłam ją, spoglądając na ciebie. W twoim policzku znowu pojawił się dołeczek. Twoje niebieskie oczy załśniły. Wtedy po raz pierwszy pomyślałam: „Ale przystojniak”.

Poszliśmy do twojego mieszkania i oglądaliśmy telewizję z twoimi współlokatorami, Adamem, Scottem i Justinem. Widzieliśmy, jak z budynków wypadały ciała, z poczerniałych hałd gruzu wznosiły się w niebo kłęby dymu, a wieżowce stopniowo obracały się w ruinę. Ogrom zniszczeń nas sparaliżował. Wpatrywaliśmy się w te obrazy, nie potrafiąc powiązać tych opowieści z naszą rzeczywistością. Jeszcze do nas nie docierało, że to wszystko działo się w naszym mieście, w odległości jedenastu kilometrów, i dotyczyło żywych ludzi. Przynajmniej mnie wydawało się, że ta tragedia wydarza się gdzieś daleko.

Telefony komórkowe przestały działać. Ze stacjonarnego aparatu w akademiku zadzwoniłeś do mamy, żeby jej przekazać, że nic ci się nie stało. Gdy zadzwoniłam do moich rodziców do Connecticut, kazali mi wracać do domu. Córka ich znajomych pracowała w World Trade Center i nie dawała znaku życia. Czyjś kuzyn umówił się na śniadanie biznesowe w restauracji Windows on the World.

– Poza granicami Manhattanu będziesz bezpieczna – orzekł mój ojciec. – A jeśli rozpylą węglik? Albo użyją innej broni biologicznej? Albo gazów bojowych?

Powiedziałam tacie, że metro nie kursuje, więc wstrzymano też pewnie ruch pociągowy.

– Przyjadę po ciebie samochodem – odparł. – Zaraz się zbiorę.

– Nic mi nie będzie – zapewniłam go. – Jestem z przyjaciółmi. Nic nam nie grozi. Zadzwonię później.

Wciąż nie wierzyłam, że to się naprawdę wydarzyło.

– Wiesz co – powiedział Scott, kiedy się rozłączyłam. – Gdybym należał do organizacji terrorystycznej, to zrzuciłbym bombę na nas.

– Odjechało ci? – wkurzył się Adam. Czekał na wiadomość od wujka, nowojorskiego policjanta.

– Jeśli spojrzeć na to z naukowego punktu widzenia... – zaczął Scott, ale nie dokończył.

– Zamknij się – uciszył go Justin. – Mówię serio, Scott. To nie najlepszy moment.

– Może lepiej już pójde – zwróciłam się wtedy do ciebie. Prawie w ogóle cię nie znałam, a twoich kumpli spotkałam po raz pierwszy. – Moje współlokatorki pewnie się o mnie martwią.

– To do nich zadzwoń – odparłeś, wręczając mi telefon. – Powiedz im, że zamierzasz wyjść na dach akademika Wien, i jak chcą, mogą się tam z tobą spotkać.

– Gdzie zamierzam wyjść?

– Tam, gdzie ja – odparłeś i bezwiednie przesunąłeś palcami po moim warkoczu.

Tak intymny gest, podobnie jak jedzenie z cudzego talerza bez pytania, świadczy zazwyczaj o tym, że wszystkie bariery zostały przełamane. W jednej chwili poczułam z tobą więź, jakby twoja dłoń na moich włosach znaczyła coś więcej niż tylko to, że ze zdenerwowania nie wiesz, co zrobić z rękami.

Wiele lat później przypomniałam sobie ten moment, kiedy postanowiłam oddać włosy na perukę i fryzjer wręczył mi mój warkocz zawinięty w folię. Włosy miały ciemniejszy odcień brązu niż zazwyczaj. Choć wtedy byłeś na drugim końcu świata, poczułam się tak, jakbym cię zdradzała, przecinała łączące nas więzy.

Ale wtedy, tamtego dnia, tuż po tym, jak tylko dotknąłeś mojego warkocza, uświadomiłeś sobie, co właśnie zrobiłeś,

i opuściłeś dłoń na kolano. Znów się do mnie uśmiechnąłeś, ale teraz w twoich oczach nie zauważyłam radości.

Wzruszyłam ramionami.

– Okej – odparłam.

Wydawało mi się, że świat się rozpada, jakbyśmy przeszli na drugą stronę rozbitego lustra, gdzie rzeczywistość straciła sens, nasze tarcze zawiodły, a mury się rozsypały. W takim miejscu nie było powodu, by powiedzieć „nie”.

Wjechaliśmy windą na dziesiąte piętro budynku Wien, a ty otworzyłeś okno na końcu korytarza.

– Ktoś mnie tu przyprowadził, jak byłem na drugim roku – powiedziałaś. – Tak pięknej panoramy Nowego Jorku jeszcze nie widziałaś.

Wyszliśmy przez okno i wdrapaliśmy się na dach. Westchnęłam. Na południowym krańcu Manhattanu wzbijał się w górę dym. Całe niebo poszarzało, a na miasto spadła chmura pyłu.

– O Boże – szepnęłam. Do oczu napłynęły mi łzy. Wyobraziłam sobie biurowce, które kiedyś tam stały, a teraz zostało po nich tylko puste miejsce. Wreszcie do mnie dotarło. – W tych budynkach byli ludzie.

Znalazłeś moją dłoń i ją uściśnąłeś.

Nawet nie wiem, jak długo staliśmy, patrząc na krajobraz po katastrofie. Po policzkach płynęły nam łzy. Obok nas pewnie zgromadzili się inni ludzie, ale nie przypominam ich sobie. Pamiętam tylko ciebie. I ten dym. Ten obraz wrył się w moją pamięć.

– Co teraz? – wyszeptałam wreszcie. Dopiero widok tego, co się stało, uświadomił mi skalę zamachu. – Co teraz będzie?

Popatrzyłeś na mnie i nasze spojrzenia, wciąż zamglone łzami, przyciągnęły się z takim magnetyzmem, że poza sobą nie widzieliśmy całego świata. Twoja ręka przesunęła się na moją talię, a ja wspięłam się na palce, by nasze usta spotkały się w pół drogi. Przywarliśmy do siebie, jakby to miało nas ochronić przed tym, co nadchodziło. Wydawało mi się, że przyciskając usta do twoich ust, zagwarantuję sobie bezpieczeństwo. Właśnie tak się czułam w chwili, kiedy okryło mnie twoje ciało. Byłam bezpieczna, otulona twoimi silnymi i ciepłymi ramionami. Twoje mięśnie napinały się pod moim dotykiem, a ja zanurzyłam palce w twoich włosach. Owinąłeś mój warkocz wokół dłoni i pociągnąłeś go lekko, by odchylić moją głowę. Zapomniałam o bożym świecie. W tamtej chwili istniałeś tylko ty.

Potem przez wiele lat nękały mnie wyrzuty sumienia. Czułam się winna, że pocałowaliśmy się po raz pierwszy, kiedy miasto stało w płomieniach, a ja w takiej chwili potrafiłam się w tobie zatracić. Ale potem dowiedziałam się, że nie byliśmy wyjątkiem. Niektórzy szepciem wyznawali mi, że tamtego dnia uprawiali seks. Poczęli dziecko. Zaręczyli się. Po raz pierwszy wyznali sobie miłość. Śmierć sprawia czasem, że ludzie garną się do życia. Tamtego dnia my również chcieliśmy żyć i nie wstydzę się tego. Już nie.

Kiedy oderwaliśmy się od siebie, by złapać oddech, oparłam głowę o twoją klatkę piersiową. Ukoilo mnie miarowe bicie twojego serca.

Czy mój puls też cię uspokoił? Czy teraz też cię koi?

Wróciliśmy do twojego pokoju w akademiku, bo obiecałeś mi lunch. Potem chciałeś wyjść na dach z aparatem i zrobić kilka zdjęć.

– Dla „Spectatora”? – zapytałam.

– Masz na myśli tę gazetę? Nie. Dla siebie – odparłeś.

W kuchni moją uwagę przykuła sterta twoich fotografii. Czarno-białe zdjęcia, piękne, dziwaczne i skąpane w świetle, przedstawiały rozmaite miejsca w kampusie. Codzienne przedmioty w ogromnym powiększeniu wyglądały jak dzieła sztuki.

– Co to takiego? – zapytałam.

Musiałam uważnie przyjrzeć się zdjęciu, by wreszcie zauważyć, że przedstawia sfotografowane z niewielkiej odległości ptasie gniazdo, wyścielone kawałkami czasopism i gazet, i czyjaś pracę semestralną z literatury francuskiej.

– Och, to była niezwykła historia – odparłeś. – Znasz Jessicę Cho? Tę, która śpiewa w chórze *a cappella*. Dziewczynę Davida Bluma. To od niej się dowiedziałem o tym gnieździe. Widziała z okna, jak wpada do niego czyjaś praca. Poszedłem

je obejrzyć. Musiałem bardzo wychylić się z okna, żeby zrobić to zdjęcie. Jess strasznie się bała, że wypadnę, dlatego kazała Dave'owi, żeby mnie trzymał za kostki. Wyszło niezłe ujęcie.

Od tej chwili zaczęłam na ciebie inaczej patrzeć. Zaprezentowałeś się jako ktoś śmiały, odważny i zdolny do poświęceń, byle tylko wykonać dobre zdjęcie. Dzisiaj myślę, że raczej chciałeś, bym zobaczyła cię właśnie w takim świetle. Wtedy jednak nie zdawałam sobie sprawy, że próbujesz na mnie zrobić wrażenie. Pomyślałam sobie: „Coś podobnego. Jaki cudowny chłopak”. Ale tak wtedy, tak jak przez cały czas trwania naszej znajomości, udowadniałeś, że zawsze zdołasz dotrzeć do prawdy. Zauważasz to, co innym umyka. Zawsze cię za to podziwiałam.

– Właśnie tym chcesz się zająć? – zapytałam, wskazując fotografie.

Pokręciłeś głową.

– To tylko hobby – odparłeś. – Moja mama jest artystką. Maluje ogromne, wspaniałe, abstrakcyjne płótna. Koniecznym musisz je kiedyś obejrzyć. Ale zarabia na życie, malując widoczki Arizony o zachodzie słońca i sprzedając je turystom. Nie chcę tak żyć, tworzyć dla pieniędzy.

Oparłam się o blat kuchenny i obejrzałam resztę fotografii. Kamienna ławka zainfekowana rdzą. Żyłkowy marmur i zardzewiały metalowy stelaż. Piękno, na które sama nigdy nie zwróciłabym uwagi.

– Twój tata też jest artystą? – zapytałam.

Twoja twarz skamieniała. Wyglądałeś tak, jakby gdzieś w twojej głowie nagle zatrzasnęły się drzwi.

– Nie – odparłeś.

Tej przeszkody nie zauważyłam. Potknęłam się o nią, bo dopiero odkrywałam twój wewnętrzny krajobraz. Miałam jednak nadzieję, że wkrótce dobrze poznam te tereny i będę się po nich poruszać z zamkniętymi oczami.

Zamilkłeś. Ja też. W tle wciąż hałasował telewizor. Słyszałam głosy spikerów mówiących o ataku na Pentagon i katastrofie samolotowej w Pensylwanii. Znowu poczułam grozę sytuacji. Odłożyłam twoje zdjęcia. Wtedy zachwyt pięknem wydawał mi się czystą perwersją. Ale dziś mam wrażenie, że wcale nie zachowałam się niestosownie.

– Chyba chciałeś zjeść lunch – przypomniałam ci, choć wcale nie byłam głodna, a kiedy patrzyłam na obrazy przemykające przez ekran telewizora, żołądek zacisnął mi się jak pięść.

Drzwi w twojej głowie się otworzyły.

– Faktycznie – odparłeś, przytakując mi.

Ze składników, które miałeś pod ręką, dało się zrobić tylko nachos. Mechanicznie pokroiłam pomidory i zardzewiałym otwieraczem otworzyłam puszkę z fasolą, kiedy ty układałeś chipsy z tortilli na jednorazowej foliowej tacce i tarłeś ser do wyszczerbionej miseczki na płatki śniadaniowe.

– A ty? – zapytałeś, jakby nasza rozmowa się nie wykończyła.

– Hmm? – Wcisnęłam wycięte wieczko do puszki, żeby odsączyć fasolę z zalewy.

– Jesteś artystką?

Odłożyłam metalowy krążek na blat.

– Nie – odparłam. – Moja twórczość ogranicza się do wymyślenia historyjek dla moich współlokatorów.

– O czym? – drążyłeś, spoglądając na mnie z zaciekawieniem.

Spuściłam wzrok, żebyś nie zobaczył, że się czerwienię.

– Żenada – mruknęłam. – O małej śwince o imieniu Hamilton, którą przez przypadek przyjęto na uniwersytet dla królików.

Śmiechem próbowałeś zatuszować zaskoczenie.

– O śwince Hamilton – powtórzyłeś. – Kumam. Zabawne.

– Dzięki – powiedziałam, podnosząc wzrok.

– Właśnie tym chcesz się zajmować po studiach? – Sięgnąłeś po słoik z salsą i postukałeś nakrętką o blat, by ułatwić sobie otwieranie.

Pokręciłam głową.

– Nie ma chyba dużego zapotrzebowania rynkowego na opowiadki o śwince Hamilton. Zastanawiałam się nad pracą w reklamie, ale jak teraz o tym myślę, wydaje mi się to głupim pomysłem.

– Dlaczego? – zapytałeś. Rozległ się odgłos otwieranego słoika.

Spojrzałam na telewizor.

– Czy to naprawdę takie ważne zajęcie? Gdyby dziś był ostatni dzień mojego życia spędzonego na obmyślaniu kampanii reklamujących... tarty ser... albo nachos... czy miałabym pewność, że dobrze wykorzystałam swój czas?

Zagryzłeś wargi. Twoje spojrzenie mówiło mi: „Muszę się nad tym zastanowić”. Orientowałam się już trochę w twojej topografii. Może teraz ty zaczynałeś poznawać moją.

– A co to znaczy „dobrze wykorzystać swój czas”? – chciałeś wiedzieć.

– Właśnie sama próbuję do tego dojść. – Mówiąc to, zaczęłam nad tym rozmyślać. – Chyba chodzi o to, żeby zostawić po sobie ślad, dokonać czegoś ważnego. Zmienić świat na lepsze.

Wciąż tak uważam, Gabe. Staralam się żyć zgodnie z tą maksymą. Ty chyba też.

Zauważyłam, jak się rozpromieniłeś. Nie wiedziałam, jak to rozumieć. Nie zdążyłam cię jeszcze poznać. Ale dziś dobrze wiem, co oznaczał twój wyraz twarzy. Zawsze robiłeś taką minę, kiedy patrzyłeś na jakąś sprawę z nowego punktu widzenia.

Zanurzyłeś chips w salsie i podałeś mi go.

– Chcesz kawałek? – zapytałeś.

Odgryzłam połowę, a ty zjadłeś drugą. Twój wzrok wędrował po mojej twarzy i przemierzał całe moje ciało. Czulałam, że przyglądasz mi się z różnych stron i perspektyw. Przesunąłeś palcem po moim policzku i znowu się pocałowaliśmy. Tym razem wyczułam na twoich ustach sól i ostry smak papryczki chili.

Kiedy miałam pięć albo sześć lat, rysowałam po ścianie w moim pokoju czerwoną kredką. Nigdy ci nie opowiedziałam tej historii. Kreśląc serduszka, drzewka, księżycy i chmurki, wiedziałam, że robię coś zakazanego. Czulałam to w brzuchu, jednak i tak nie mogłam się powstrzymać. Kierowało mną nieodparte pragnienie. Mój pokój był urządzony na różowo i żółto, ale najbardziej lubiłam czerwień. Chciałam spać w czerwonej sypialni. Potrzebowałam tego. Rysowanie po ścianach sprawiało mi tyle radości, a jednocześnie wpędzało mnie w poczucie winy.

Takie emocje towarzyszyły mi w dniu, kiedy się spotkailiśmy. Całując się z tobą w chwili, kiedy tragicznie zginęło tylu ludzi, czulałam jednocześnie szczęście i wyrzuty sumienia. Ale jak zawsze skupiałam się na tym, co dla mnie dobre.

Wsunęłam dłoń do tylnej kieszeni twoich džinsów. Twoja dłoń powędrowała do mojej tylnej kieszeni. Przysunęliśmy się do siebie. W twoim pokoju odezwał się telefon, lecz ty go zignorowałaś. Potem rozległo się dzwonięcie w pokoju Scotta.

Po kilku sekundach on wszedł do kuchni i chrząknął. Oderwaliśmy się od siebie i spojrzeliśmy na niego.

- Stephanie cię szuka, Gabe – powiedział.
- Stephanie? – zapytałam.
- To nic ważnego – odparłeś.
- Jego była – oznajmił jednocześnie Scott. – Stary, ona płacze – dodał.

Spoglądałeś to na Scotta, to na mnie, jakbyś toczył wewnętrzną walkę.

– Możesz jej przekazać, że oddzwonię za kilka minut? – poprosiłeś go.

Scott skinął głową i wyszedł, a ty chwyciłeś mnie za rękę i nasze palce się splotły. Spojrzeliśmy na siebie tak jak przed chwilą, na dachu, a ja nie mogłam oderwać od ciebie wzroku. Czułam, jak mój puls przyspiesza.

– Lucy. – Moje imię w twoich ustach ociekało pożądaniem. – Wiem, że w twojej obecności to bardzo niezręczne, ale powinienem sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku. Byłem z nią przez cały poprzedni rok akademicki i zerwaliśmy ledwie miesiąc temu. Dzisiaj...

– Rozumiem – odparłam. Może to dziwne, jednak w tamtej chwili, kiedy się okazało, że martwisz się o Stephanie, choć już ze sobą nie chodzicie, polubiłam cię jeszcze bardziej. – Zresztą i tak muszę wracać do moich współlokatorek – stwierdziłam, choć wołałabym zostać z tobą. – Dzięki za...

Miałam pustkę w głowie. Nie potrafiłam dokończyć zdania. Lekko uściśnąłeś moją dłoń.

– Dzięki tobie pomimo tej tragedii przydarzyło mi się coś pozytywnego – powiedziałaś. – Lucy. Luce. Po hiszpańsku *luz* to światło, prawda? – zawahałeś się, a ja skinęłam głową. – Dziękuję, że rozświetliłaś mrok.

Oddałeś w słowach to, czego nie potrafiłam wyrazić.

– Ty zrobiłeś dla mnie to samo – wyznałam. – Dziękuję.

Znowu się pocałowaliśmy, a ja z trudem się od ciebie odsunęłam. Nie chciałam jeszcze wychodzić.

– Zadzwoń później – obiecałeś. – Znajdę twój numer w książce telefonicznej. Przepraszam, że nie dokończyliśmy nachos.

– Uważaj na siebie – powiedziałam. – Nachos możemy zjeść kiedy indziej.

– Świetny pomysł – odparłeś.

Wysłałam, zastanawiając się, czy to możliwe, że jeden z najbardziej przerażających dni, jakie przeżyłam, przyniósł mi coś dobrego.

Faktycznie zadzwoniłeś do mnie kilka godzin później, jednak nasza rozmowa przebiegła w zaskakujący sposób. Powiedziałaś, że bardzo, bardzo ci przykro, ale wróciłeś do Stephanie. Ona potrzebowała teraz wsparcia, bo jej najstarszy brat, który pracował w jednym z wieżowców World Trade Center, nie dawał znaku życia. Liczyłeś na moją wyrozumiałość i jeszcze raz podziękowałeś mi za rozświetlenie tego strasznego popołudnia. Moja obecność, jak stwierdziłeś, wiele dla ciebie znaczyła. Na koniec ponownie przeprosiłeś.

Nie powinnam się czuć tak zdruzgotana.

Nie rozmawiałam z tobą przez cały semestr zimowy. Przez wiosenny zresztą też. Na zajęciach Kramera siadałam z dala od ciebie. Jednak słuchałam uważnie za każdym razem, kiedy opowiadałeś o tym, jakie dostrzegasz piękno w języku i metaforyce Szekspira, nawet w najmroczniejszych scenach.

– „Niestety!” – przeczytałeś. – „Czerwona rzeka twojej krwi gorącej, / Jak wrzące źródło wiatrem kołysane, / Wzdyma się w twoich ustach i opada / Twoim oddechem kołysana wonnym”.

Myślałam tylko o twoich ustach muskających moje.

Bezskutecznie próbowałam wymazać z pamięci tamten dzień. Nie mogłam zapomnieć tragedii, która dotknęła Nowy Jork, Amerykę i ludzi pracujących w Twin Towers. Wciąż pamiętałam, co zaszło między nami. Nawet teraz, kiedy ktoś mnie pyta: „Byłaś w Nowym Jorku, kiedy zawaliły się wieżowce?” albo „Gdzie spędziłaś tamten

dzień?”, albo „Co tu się działo?”, w pierwszej chwili myśle o tobie.

Niekiedy jedna chwila decyduje o naszym dalszym losie. Dla nas, mieszkańców Nowego Jorku, taki moment nastąpił jedenastego września. Wszystko, co wydarzyło się tamtego dnia, nabrało szczególnej wagi, zapisało się trwale w mojej pamięci i odcisnęło piętno w sercu. Nie wiem, dlaczego spotkałam cię tego dnia, ale jestem pewna, że na zawsze pozostałeś częścią mojej historii.

W maju skończyliśmy studia. Wymieniliśmy birety i togi na dyplomy po łacinie opatrzone pierwszym i drugim imieniem oraz nazwiskiem. Razem z mamą, tatą, moim bratem Jasonem, babcią, dziadkiem i wujkiem wybraliśmy się do Le Monde. Posadzono nas obok znacznie mniejszej rodziny. Twojej.

Kiedy weszliśmy, podniosłeś wzrok i wyciągnąłeś rękę, dotykając mojego ramienia.

– Lucy! – zawołałeś. – Gratuluję!

Przeszył mnie dreszcz. Wiele miesięcy później doświadczyłam tego samego, kiedy poczułam twój dotyk na skórze. Wtedy, w Le Monde, udało mi się tylko wydusić z siebie:

– Nawzajem.

– Jakie masz plany? – zapytałeś. – Zostajesz w mieście? Pokiwałam głową.

– Zajmę się produkcją programów dla dzieci w nowej wytwórni telewizyjnej.

Mimowolnie się uśmiechnęłam. Przez dwa miesiące modliłam się, by dostać tę posadę. O takiej właśnie pracy

zaczęłam myśleć tuż po katastrofie Twin Towers, kiedy uświadomiłam sobie, że wolałabym się zająć czymś bardziej sensownym niż reklama. Chciałam wpłynąć na wychowanie następnego pokolenia i w ten sposób zmienić przyszłość.

– Programy dla dzieci? – upewniłeś się z uśmiechem. – Takie jak *Alvin i wiewiórki*? Z postaciami mówiącymi tak piskliwie, jakby nawdychały się helu?

– Nie do końca – odpowiedziałam ze śmiechem, bo miałam ochotę wyznać ci, że to dzięki naszej rozmowie wybrałam tę drogę, a tamta chwila w twojej kuchni tak wiele dla mnie znaczyła. – A ty?

– McKinsey – oznajmiłeś. – Konsulting. Żadne tam wiewiórki.

Zdziwiłam się. Po naszej wymianie zdań i twoich interpretacjach Szekspira na zajęciach Kramera spodziewałam się po tobie czegoś innego.

Ale powiedziałam tylko:

– To wspaniale. Gratuluję dobrej posady. Może kiedyś się spotkamy.

– Byłoby miło – odparłeś.

Zajęłam miejsce przy stole z moimi krewnymi.

– Kto to? – zapytał jakiś głos.

Podniosłam głowę. Obok ciebie siedziała dziewczyna o długich blond włosach sięgających do połowy pleców. Położyła dłoń na twoim udzie. Tak się skupiałam na tobie, że nie zwróciłam na nią uwagi.

– Znajoma z zajęć, Stephanie – wyjaśniłeś.

Oczywiście nic więcej nas nie łączyło. Ale i tak twoje słowa mnie zaboląły.

Nowy Jork to osobliwe miasto. Można przez wiele lat nie spotkać mieszkającego obok sąsiada, ale wpaść na najlepszego przyjaciela, wsiadając do metra w drodze do pracy. Przeznaczenie czy wolna wola? Może jedno i drugie.

Był marzec. Od końca studiów minął prawie rok i Nowy Jork nas pochłonął. Mieszkałam z Kate na Upper East Side w ogromnym apartamencie, należącym niegdyś do jej dziadków. Przeprowadzkę do wspólnego domu planowałyśmy już w gimnazjum. Nasze dziecięce marzenia się spełniły.

Przez sześć miesięcy romansowałam z kolegą z pracy, zaliczyłam kilka jednorazowych numerów i parę randek z facetami, których uznałam za nie dość inteligentnych albo nie dość przystojnych, albo nie dość fascynujących, choć z perspektywy czasu wydaje mi się, że wcale nie byli aż tacy beznadziejni. Gdybym wtedy spotkała Darrena, pewnie też dałabym mu kosza.

Z dała od Philosophy Hall i akademików we Wschodnim Kampusie zupełnie przestałam o tobie myśleć. No prawie. Nie widzieliśmy się przez rok. Czasem przypomiinałam

sobie o tobie, przeglądając z moim szefem scenorysy, kiedy ocenialiśmy odcinki na temat akceptacji i szacunku. Przed oczami stawała mi twoja kuchnia i utwierdzałam się w przekonaniu, że podjęłam właściwą decyzję.

Wkrótce nadszedł czwartek, dwudziesty marca, moje dwudzieste trzecie urodziny. Na weekend zaplanowałam imprezę, ale moje dwie najbliższe koleżanki, Alexis od Scenariuszy i Julia z Działu Artystycznego, jak później je nazywałeś, uparły się, żeby zabrać mnie na urodzinowego drinka.

Tamtej zimy uwielbiałyśmy przesiadywać we trzy na kanapach przed kominkiem w knajpie Faces & Names. Choć było prawie pięć stopni powyżej zera, zamierzałyśmy poprosić barmana, żeby rozpałił ogień. Polubił nas, bo od kilku miesięcy przychodziłyśmy tam regularnie.

Julia zrobiła dla mnie z papieru urodzinową koronę i uparła się, żebym ją założyła, a Alexis zamówiła trzy martini z sokiem jabłkowym. Rozsiadłyśmy się na kanapie przed kominkiem i przed każdym łykiem wznosiłyśmy jakiś toast.

– Za urodziny! – zaczęła Alexis.

– Za Lucy! – zakrzyknęła Julia.

– Za przyjaźń! – dodałam.

Potem puściłyśmy wodze fantazji: „Za kserokopiarkę, która dziś się nie zacięła!” i „Za szefów, którzy idą na chorobowe!” i „Za dojadanie resztek po lunchu w dobrej restauracji!” i „Za bary z kominkami!”, i „Za martini z sokiem jabłkowym!”.

Kelnerka przyniosła nam na tacy trzy kolejne drinki.

– Och, nie zamawiałyśmy ich – powiedziała Julia.

Kelnerka się uśmiechnęła.

– Dziewczyny, macie sekretnego adoratora.

Skinęła głową w stronę baru.

Stałeś przy nim ty.

Przez chwilę wydawało mi się, że mam przywidzenia.

Pomachałeś nam.

– Mam przekazać Lucy najlepsze życzenia urodzinowe.

Alexis opadła szczęką.

– Znasz go? – zapytała. – Ale ciacho! – Wzięła jeden z trzech drinków zostawionych przez kelnerkę na stoliku przed kanapą. – Za uroczych chłopców, którzy przysyłają drinki i znają twoje imię! – zakrzyknęła. Kiedy się napiłyśmy, dodała: – Idź mu podziękować, droga solenizantko.

Odstawiłam martini na stolik, ale w ostatniej chwili zmieniłam zdanie i wzięłam szklankę ze sobą. Podeszłam do ciebie, lekko chybocząc się na wysokich szpilkach.

– Dzięki – powiedziałam, siadając obok ciebie na stołku barowym.

– Sto lat – odparłeś. – Fajna korona.

Zaśmiałam się i ją zdjęłam.

– Tobie byłoby w niej bardziej do twarzy – zauważyłam. – Chcesz przymierzyć?

Papierowa korona przygniotła twoje loki.

– Szałowo – stwierdziłam.

Uśmiechnąłeś się i odłożyłeś koronę na kontuar.

– Z trudem cię rozpoznałem – przyznałeś się. – Zmieniłaś fryzurę?

– Zakręciłam włosy – oznajmiłam, odsuwając je od twarzy.

Wpatrywałeś się we mnie tak jak wtedy, w twojej kuchni, jakbyś oglądał mnie jednocześnie z wielu perspektyw.

– Z lokami czy bez wyglądasz równie pięknie.

Troszeczkę plątał ci się język. Zorientowałam się, że wstałeś się bardziej niż ja. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego upijasz się sam we czwartek o siódmej wieczorem.

– Co u ciebie? – zapytałam. – Wszystko w porządku?

Położyłeś łokieć na barze i oparłeś policzek na dłoni.

– Sam nie wiem – odparłeś. – Znowu zerwałem ze Stephanie. Nienawidzę mojej pracy. A Stany przeprowadziły

inwazję na Irak. Za każdym razem, kiedy cię spotykam, świat się wali.

Nie wiedziałam, jak zareagować na wieść o twoim rozstaniu ze Stephanie i stwierdzenie, że świat się wali, więc tylko napiłam się martini.

Ty kontynuowałaś.

– Może wszechświat wiedział, że potrzebuję dziś naszego spotkania. Jesteś jak... Pegaz.

– Ten koń z *Iliady*? – zapytałam. – Skrzydlaty ogier?

– Nie to miałem na myśli – odparłeś. – Jesteś bardzo kobieca. – Uśmiechnęłam się, a ty mówiłeś dalej. – Bellerofont nigdy nie pokonałby Chimery bez pomocy Pegaza. Dzięki swojemu rumakowi stał się kimś lepszym. Udało mu się wznieść ponad ból i cierpienie. Został bohaterem.

Zupełnie inaczej odczytywałam ten mit. Według mnie opowiadał o pracy zespołowej, kooperacji i partnerstwie. Podobalo mi się to, że Bellerofont nie dosiadłby Pegaza, gdyby ten mu na to nie pozwolił. Ale wiedziałam też, jak wiele znaczy dla ciebie twoja interpretacja.

– W takim razie chyba powinnam podziękować ci za komplement. Choć wolałabym zostać porównana do Ateny. Hery. Nawet do Gorgony.

Kąciki twoich ust się uniosły.

– Tylko nie do Gorgony. Nie masz węzów na głowie.

Dotknęłam swoich włosów.

– Zmieniłbyś zdanie, gdybyś zobaczył mnie rano.

Spojrzałeś na mnie tak, jakbyś uznał, że to świetny pomysł.

– Czy kiedykolwiek cię przeprosiłem? – zapytałeś. – Za to, co zaszło. Między nami. Nie chodzi mi w tej chwili o nasz pocałunek. Tylko... – Wzruszyłeś ramionami. – Tylko o to, co się stało później. Chciałem się zachować przyzwoicie wobec Stephanie. Życie bywa...

– Skomplikowane – dokończyłam za ciebie. – To już nie ma znaczenia. Było, minęło. Zresztą przepraszam cię. Dwa razy.

– Wciąż o tobie myślę, Lucy – wyznałeś, wpatrując się w pustą szklanekę po whisky. Zastanawiałam się, ile już wypiliśmy. – Ciekawe, co by się wydarzyło, gdybyśmy nie znaleźli się na rozstaju dróg. Nasze drogi się rozeszły.

Gdybyś dziś porównał nas do dróg biegnących w przeciwnych kierunkach, to pewnie bym cię wyśmiała. Wtedy jednak ta metafora z wiersza Frosta wydała mi się szalenie romantyczna.

Spojrzałam na Alexis i Julię. Obserwowały nas, popijając martini. „Wszystko okej?”, wyszeptała Julia bezgłośnie. Skinęłam głową. Postukała palcem w zegarek i wzruszyła ramionami. Powtórzyła jej gest. Ona skinęła głową.

Popatrzyłam na ciebie. Byłeś cudowny, kruchy i tak bardzo mnie pragnęłeś. Być może wszechświat podarował mi cię na urodziny.

– Drogi mają to do siebie, że czasem ponownie się schodzą. Niekiedy los daje nam drugą szansę i pozwala nam wrócić na tę samą ścieżkę.

Boże, byliśmy do bólu pretensjonalni. A może po prostu młodzi. Tacy młodzi.

Spojrzałeś na mnie. Twoje lśniące oczy nie straciły ani krzty magnetyzmu.

– Mam ochotę cię pocałować – powiedziałeś, nachylając się do mnie.

Zrobiłeś to, a mnie się wydawało, że właśnie spełnia się moje urodzinowe życzenie.

– Co ty na to, by spędzić dzisiejszy wieczór u mnie, Lucy? – zapytałeś, zakładając mi za ucho niesforny kosmyk włosów. – Nie chcę wracać do domu sam.

W twoich oczach dostrzegłam smutek i osamotnienie. Chciałam cię uzdrowić, być balsamem na twoje rany,

opatrunkiem i antidotum na nieszczęście. Zawsze próbowałam naprawić twoje życie. Wciąż to robię. To moja pięta achillesowa. Jakaś siła trzymała mnie przy tobie, tak jak ziarenko granatu nie pozwoliło Persefonie odejść z zaświatów.

Uniosłam twoją dłoń i pocałowałam koniuszki palców.

– Czemu nie – odparłam. – Chętnie.